

TANIEC DERWISZÓW W CYRKU MEDRANO.

„Maraton tańca w cyrku Medrano“ — obwieszczają afisze, rozlepione po rogach ulic. „Ludzie, którzy tańczą od 18-go czerwca bez przerwy“ — podają codziennie gazety. Wszystko, co żyje, spieszy więc na Montmartre do cyrku Medrano, gdzie dniem i nocą, przez całe dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, trwa to niezwykle i niepokojące widowisko.

Nie należy tylko sądzić, że bywalcami cyrku Medrano jest przeważnie gawiedź uliczna. Najwytworniejsze sfery Paryża dają tam sobie rendez-vous. Należy poprostu do dobrego tonu pokazać się w cyrku Medrano po teatrze lub po koncercie, tak między dwunastą a drugą nad ranem, pozdrowić znajomych od łoża do łoża i patrzeć, jak znana tancerka Jenny Dolly, obecnie właścicielka wielkiego magazynu mód, rozdaje na prawo i na lewo kosztowne premje w postaci sukien i kapeluszy.

Poszłam do cyrku Medrano niezbyt chętnie, jakby w przeczuciu tego, co zobaczę, ale poszłam, ponieważ pomiędzy zawodnikami znajduje się para Polaków.

Podwójny sznur samochodów otacza cyrk Medrano. Przy kasie ścisk nie do opisania. Ciągłe oklaski wstrząsają dosłownie jego ścianami, od czasu do czasu zaś roz-

lega się przenikliwe gwizdanie i gremjalne krzyki protestu.

Wchodzimy i z trudnością znajdujemy miejsca na ławkach. Cyrk Medrano jest ogromną budą, zbudowaną amfiteatralnie i od góry aż do dołu szczelnie wypełniony publicznością, pomimo drogich biletów. Z jednej strony na podjum gra rześisty jazz-band, obok niego speaker, zapowiada przez megafon wszystkie ważniejsze wypadki, jak zjawienie się jakichś wybitnych gości, albo ufundowanie jakiejś nagrody. U góry fotograf utrwała co pewien czas przy świetle magnezjowem nowe fazy tańca — u dołu arbiter uwija się z gwizdkiem w rękę.

Na wyłożonej zwykłemi deskami arenie cyrkowej tańczy sześć par. Sześć par pozostałych z trzydziestu, które stanęły w pierwszym dniu do zawodów. Taniec cieni. Taniec manekinów. Mężczyźni tańczą w miękkich pantoflach bez marynarek i kamizelek, w samych tylko koszulach. Kobiety mają przeważnie suknie wieczorowe, od których dziwnie odbijają nogi w skarpetkach i sandałach bez obcasów. Pot zmył im z twarzy puder i szminkę. Włosy spadają w lepkich kosmykach na szare policzki. Oczy są błędne. Ruchy automatyczne. Tańczą już blisko pięćset godzin bez przerwy...

Regulamin zawodów przypomina chińskie tortury. Zawodnicy muszą tańczyć 45 minut, a przez piętnaście minut wolno im spać. To daje na dobę pięć godzin spoczynku. Co trzy godziny otrzymują posiłek w bardzo małej ilości i lekkiej formie. I zaraz potem muszą znowu tańczyć przez cały dzień i przez całą noc. Nagrodę otrzyma ta para, która ostatnia zostanie na placu boju.

Przypatruję się tańczącym. Dwie pary Włochów,

jedna Polaków, jedna Francuzów i dwóch Amerykanów, mających za partnerki Francuzkę i Szwajcarkę. Mężczyźni są przepasani szarfami o barwach narodowościowych. Widok zbrudzonej, biało-czerwonej szarfy działa, jak leciutkie uklucie w serce...

Polski tancerz nazywa się Leon As i ma beznadziejnie odstające uszy. Ale jego partnerka Łucja Janno jest zupełnie ładna z tą swoją zbiedzoną twarzą i oczyma, które się zdają wciąż pełne łez... Ma suknię z czerwonej lamy, której głęboki dekolt odsłania plecy tak chude, jak u bezpańskiego kota.

Para francuska, to Paryżanie z krwi i kości, co im jedna sympatię widzów. Jeden z Amerykanów jest bardzo ładnym chłopcem, żującym bez przerwy gumę. Otrzymuje wciąż oklaski ze strony płci pięknej. Szwajcarka jest wysoka, jak żyrafa, a twarz ma zupełnie ziemistą. Jedna para włoska, to małżeństwo. On jest niski i gruby, ona wysoka i zamaszysta. Na szyi ma ta Włoszka dwa sznury koralu i ślady rumieńców na twarzy.

Tańczą, a raczej chodzą bez przerwy. Bo w regulaminie jest, że muszą poruszać nogami i dotykać się rękoma. Więc snują się po arenie, jak pary galerników przykutych do jednego wiosła! Tylko czasem, gdy muzyka zagra żywiej, albo speaker zapowie nową nagrodę, wówczas zrywają się, jak zbudzeni ze snu, wykonają kilka żywszych kroków i znów zapadają w poprzednią martwość.

A nagrody sypią się, jak z rogu obfitości. Co chwila zapowiada speaker, że znakomita aktorka, panna X. ofiarowuje 100 franków parze, która odtńczy najlepszego walca, albo że znany malarz, pan Z., daje dwie-

ście franków za najładniejsze tango. Jest to, swoją drogą, niezła reklama, bo publiczność oklaskuje gromkimi oklaskami wszystkich ofiarodawców. A nieszczęsne marjonetki, kręcące się na arenie cyrku Medrano, zbierają ostatki sił, aby zdobyć te pieniądze.

Publiczność decyduje komu się należy nagroda. To też za każdym tańcem cyrk trzęsie się od krzyków. Kobiety piszczą cienkimi głosami i wołają numer swoich ulubieńców. Mężczyźni tupią nogami i walą laskami w podłogę. Gorąco jest nie do opisania. Nad areną unosi się siny opar dymu z papierosów. I tylko tańczący derwisze cyrku Medrano zdają się być nieczuli na brak powietrza.

Po upływie trzech kwadransów opuszczają salę, aby „spać” przez piętnaście minut. A publiczność zaczyna zaraz gwizdać i wołać o zwrot pieniędzy za bilety. Chcą ich mieć bez przerwy przed oczyma, patrzeć na te słaniające się postacie tak, jak w cyrkach rzymskich patrzano na konających niewolników i zakładać się, który najdłużej wytrzyma...

Tymczasem służba wnosi na arenę wysoki stół, ustawia na nim sześć talerzy i napelnia je zupą, zaczerpniętą z wielkiego wiadra. Publiczność uspokaja się, widząc te nowe przygotowania. Jest już po północy i w łóżach bieleją nagie ramiona kobiet i połyskują brylanty. Mężczyźni we frakach towarzyszą tym kobietom. Speaker zapowiada coraz to nowych, bardzo „paryskich” gości.

Upływa kwadrans i sześć postaci powraca na swe stanowiska. Stojąco polykają gorącą zupę i poruszają przytem nogami, bo regulamin nie pozwala przecież zostać bez ruchu. Mają tylko trzy minuty na przelknię-

cie tego posiłku. I już znowu gra muzyka i znowu zaczyna się obłądny taniec. Włoch zasypia z głową opartą na ramieniu tancerki, która go podtrzymuje macierzyńskim ruchem. Polka przeciera wciąż oczy ręką. Ze snu, czy z łez?

— Hallo, hallo! — woła ze swego miejsca speaker. — Znana firma kapelusznicza Léon ofiarowuje dwa kapelusze, męski i damski, za najpiękniej odtanzonego bostona.

Nowa sensacja. Mały, czerwony kapelusik, chybczący się wysoko w powietrzu, przykuwa sześć par zmętniałych oczu kobiecych. Ożywiają się, prostują, zaczynają tańczyć naprawdę. Ich zapal udziela się tancerzom. Mały, czerwony kapelusik, symbol próżności ludzkiej, potrafi cuda zdziałać! Odbywa się pojedynek pomiędzy parą francuską i polską. Tańczą coraz lepiej. Skończyli. Oklaski, krzyki, gwizdy. Paryżanie chcą, aby czerwony kapelusik ozdobił główkę Paryżanki. Vox populi decyduje! Pięć par oczu kobiecych musi się pożegnać z upragnioną nagrodą.

A teraz nagroda za najszybszy i najekscentryczniejszy taniec. A teraz za prawdziwą sambę murzyńską, a teraz za polkę, a teraz za jawę. Nagrody są, jak śmignięcie szpicrutą, które stawia na nogi upadającego z sił wierzchowca. I znowu upływają trzy kwadranse i tancerze opuszczają arenę.

Chciałam pomówić z ową parą Polaków, ale nie wolno im przerywać krótkotrwałego spoczynku. Wobec tego zwróciłam się po informacje do dyrektora tej imprezy. Jest on oczywiście Amerykaninem i szczerzy w uśmiechu garnitur olbrzymich anglo-saskich zębów.

— Para Polaków, to zawodowi tancerze — powia-

da. — Nie mieli engagement i dlatego zgłosili się do zawodów. Skąd pochodzą — nie wiem. Są bardzo wytrwali, ale czy wytrzymają do końca?... Widzi pani, ci ludzie nie mają już całkiem sił, trzymają się nerwami. Światła, muzyka, krzyki publiczności, premje pieniężne — to wszystko ich podtrzymuje. Ale kiedy wychodzą z areny, zasypiają odrazu, stojąc, a potem, aby ich obudzić, musimy się uciekać do zimnej wody.

— Niech pani przyjdzie tu o dziewiątej rano. Najgorszy czas, to między dziewiątą a południem. Tańczą wtedy przy gramofonie, a na widowni jest może dwadzieścia osób. Są wtedy tak zmęczeni, że nie mogą utrzymać się na nogach. Zataczają się, jak pijani, śpią chodząc, padają na ziemię i zasypiają w jednej chwili. Trzeba ich wciąż budzić... Niech pani przyjdzie o dziewiątej rano.

Nie, nie odczuwałam ochoty do tej porannej wizyty, natomiast czułam dziwną chęć wymówienia jakiegoś bardzo nieprzyzwoitego angielskiego wyrazu. I dlatego wróciłam na widownię. Było już po przerwie i tańczący derwisze wracali parami, zgarbieni, ledwo powłócząc nogami.

Nagle cały ten cyrk, duszny od oddechów ludzkich wydał mi się czemś zgoła nierealnem. Jakimś okropnym koszmarem! Czyż to możliwe, aby podobne rzeczy działy się w dwudziestym wieku? Może cofnęliśmy się o blisko dwa tysiące lat wstecz i siedzimy w rzymskiem Colosseum? W łóżach wyuzdane westalki i patrycjusze o stępiąłych nerwach, a wdole hałasuje plebs. A ci tam, snujący się, jak cienie, po arenie, zawołają może za chwilę:

„Ave Caesar-Imperator! Morituri te salutant“.

A zaś imperator-tłum krzykiem i gwizdem stara się ich podniecić do ruchu. Niechaj nie chodzą, niech tańczą! Niechaj tańczą do upadłego. Do ostatniej kropli krwi. Niechaj umierają tańcząc...

Jest tyle na świecie stowarzyszeń przyjaciół zwierząt. Dlaczego niema dotychczas Przyjaciół Ludzi?